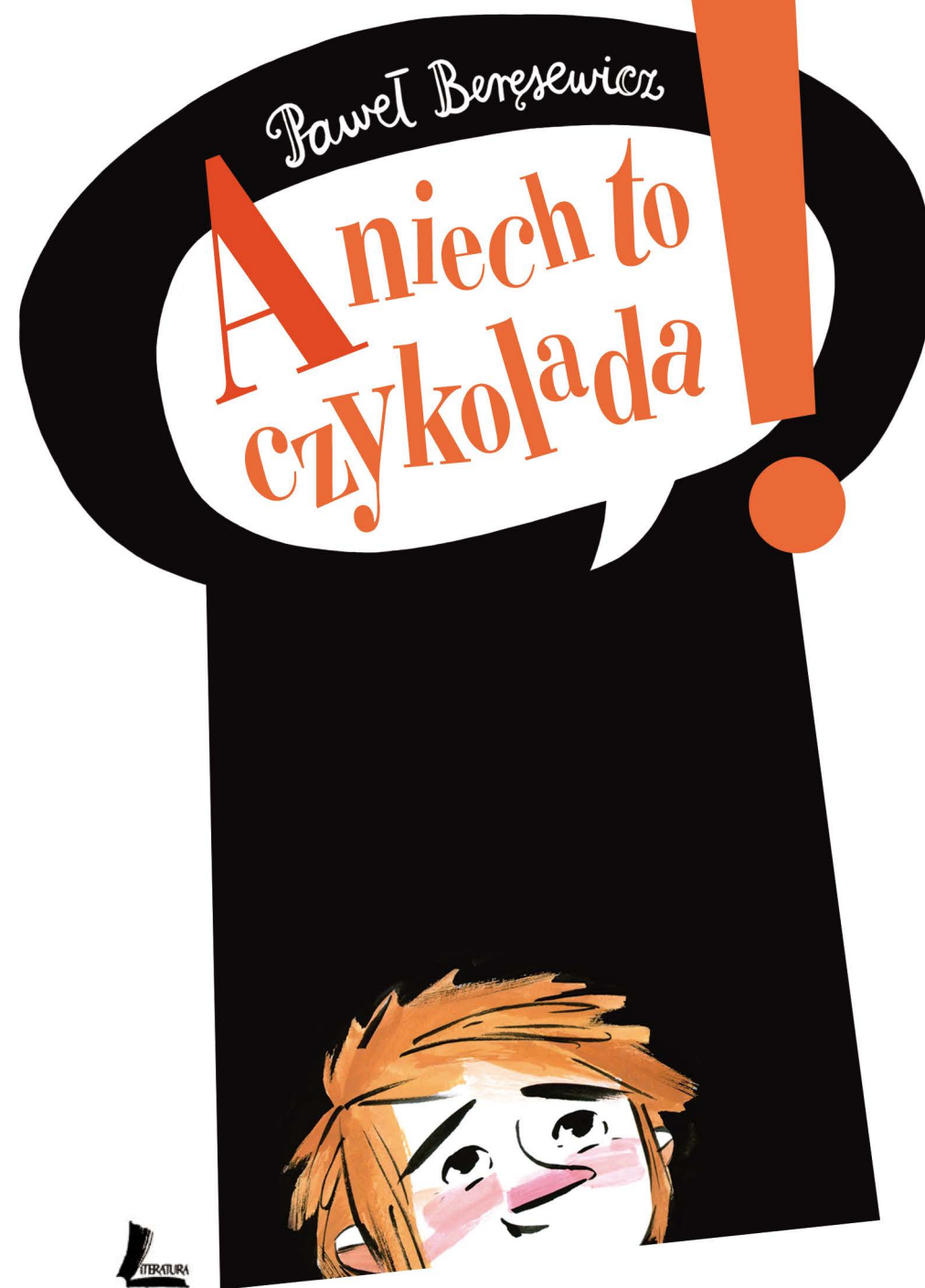


Paweł Beresewicz

A niech to
czykolada!





Paweł Beręsewicz
A niech to czykolada!

© by Paweł Beręsewicz
© by Wydawnictwo Literatura

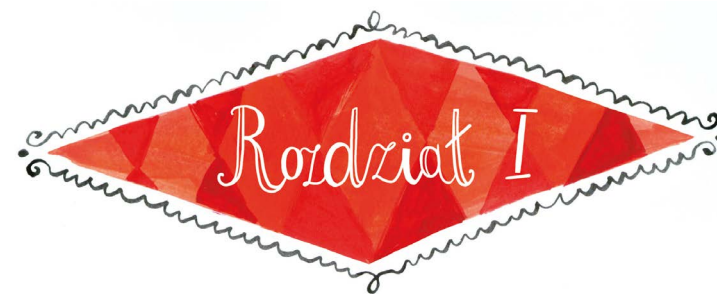
Okładka i ilustracje:
Magdalena Koziel-Nowak

Korekta:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie II
pierwsze w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-510-9

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wyd-literatura.com.pl



Był piękny pogodny poranek dziewięćdziesiątego szóstego dnia tysiąc osiemset dwudziestej piątej pustki. Ole obudził się bardzo wcześnie, zdziwiony, że w ogóle udało mu się zasnąć. Na ten dzień przez całą pustkę czekały wszystkie zyliryjskie dzieci, a i dorośli na myśl o nim czuli przyjemny dreszczyk, choć rzadko kiedy otwarcie się do tego przyznawali.

Zyliryjski kalendarz znał trzy rodzaje pustek. Najdłużej trwała tak zwana pustka krokodyla. Ciągnęła się przez trzysta trzydzieści sześć dni i aż wierzyć się nie chce, że człowiek w ogóle może tyle wytrzymać. Następna była pustka węgorza. Sto czterdzieści cztery dni to niby sporo krócej, ale i tak przerażająco długo. Oczywiście wszyscy najbardziej lubili pustkę myszy, jeżeli pustkę w ogóle można lubić. Dziewięćdziesiąt sześć dni bez Rzeczy – to jeszcze jakoś ostatecznie da się znieść.

Tysiąc osiemset dwudziesta piąta pustka była właśnie pustką myszy, co oznaczało, że dziewięćdziesiąty szósty jej dzień

był jednocześnie dniem Zjawienia – początkiem dwudniowej Obecności, czasu radosnych zabaw, ulicznych korowodów, piasów i parad przebierańców. Po tych dwóch dniach weseła co prawda zawsze nieuchronnie następowało Zniknięcie, a wraz z nim początek nowej pustki, ale w zjawienny poranek o sprawach przykrych nikt nie zamierzał myśleć.

Ole energicznym kopnięciem wyrzucił w powietrze kołdrę i wyturlał się z łóżka, zanim zdążyła opaść. Pospiesznie włożył czarne rajtuzy i rozprostował ręką ogon, który splątał się w trakcie ubierania. Nie, nie, Zyliryjczycy normalnie nie mają ogonów. Materiałowa kicha, wypchana watą



i usztywniona twardym drutem, przyszyta była do obcisłych gacek Olego i stanowiła element przebrania. Ole miał nadzieję, że będzie dzięki temu wyglądał jak Dundolf – szef szefów licznej bandy potworów zaludniającej zyliryjskie legendy. Nikt wprawdzie nigdy nie widział Dundolfa, ale z jakichś względów dla wszystkich było oczywiste, że musi posiadać ogon. Według najbardziej chyba znanego podania – czytano je dzieciom w każdym przedszkolu – Dundolf mieszkał w olbrzymim pałacu pełnym regałów z książkami. Nie były to jednak zwyczajne czytała. Potwór, za pomocą tajemniczych składników warzonych w wielkim czarnym kotle, zamieniał w księgi najpiękniejsze miasta świata. Kiedy mu się udawało, zacierał z zadowoleniem swoje szponiaste łapy, odkładał na półkę nowo zdobyty tom i nigdy potem do niego nie zaglądał. Jego biblioteka była już prawie pełna. Zostało miejsce jeszcze tylko na jedną jedyną księgę. Na świecie było wiele miast, które zakłete w papier stanowiłyby ozdobę jego kolekcji. Dundolf jednak z jakichś sobie tylko znanych powodów upatrzył jedno i o żadnym innym nie chciał słyszeć. Jak się domyślacie, chodziło mu o Zylirię. Problem polegał na tym, że choć próbował już od wieków, wciąż nie potrafił uwarzyć odpowiedniej mikstury, która pozwoliłaby mu spełnić marzenie. Wiadomo było, że taka substancja istnieje i że nazywa się czykolada (w niektórych wersjach legendy także

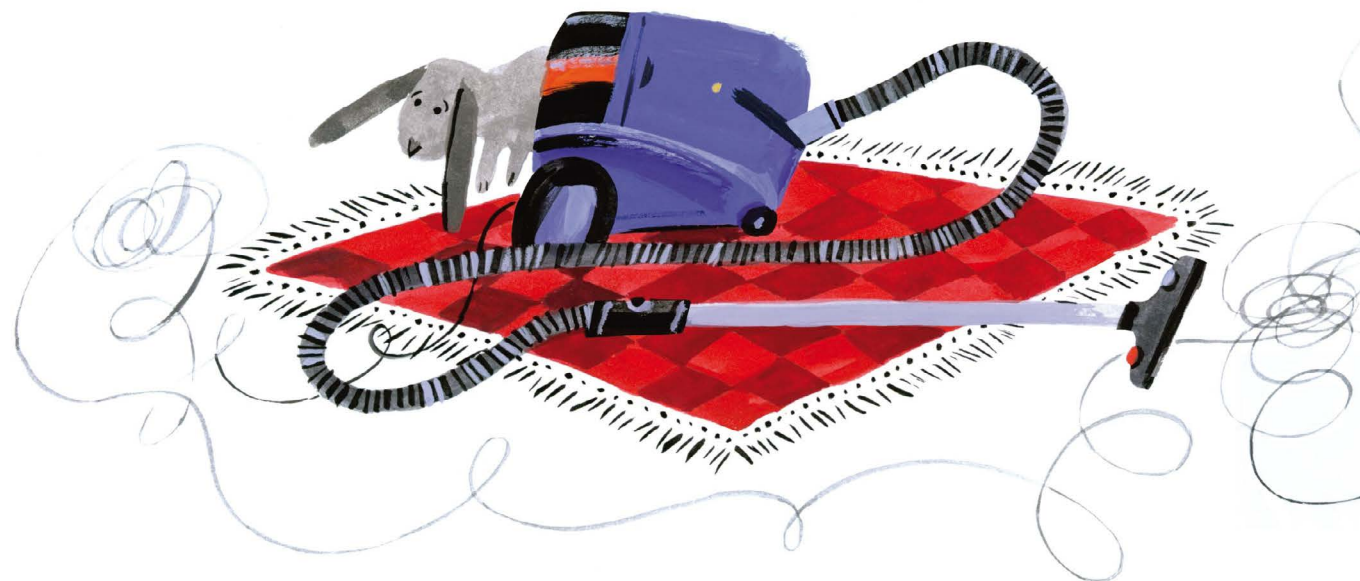


„czokolada”). Nikt jednak nie miał pojęcia, jak wygląda, i nie znał jej składu. Wściekał się więc bezradny Dundolf, mieszając drewnianą chochlą w wielkim kotle, ale nic mu nie wychodziło. Dodawał składnik po składniku, podgrzewał, mroził, potrząsał, cedził, rozcieńczał, kisił i suszył – bez skutku.

Zyliryjskie przedszkolaki rzecz jasna śmiały się, słuchając o niepowodzeniach potwora. Wszyscy zresztą traktowali tę opowieść tak, jak się traktuje każdą legendę – wiadomo, że jest zmyślona, a jednak czasem miło się trochę pobać. Strój Dundolfa był zawsze hitem karnawału, a słowo „czykolada” (lub „czokolada”) na stałe weszło do zyliryjskiego języka na określenie wszystkiego, co budzi niechęć, wstręt lub pogardę.

– Ale czykoladowe śniadanie! – powiedział Ole, kiedy odziany w czarny kostium zszedł tego ranka do kuchni.

Do wielkiej wytęsknionej chwili zostało jeszcze kilkanaście godzin i już sam ten fakt był czykoladowy. Historia znała co prawda kilka przypadków, kiedy Ręka z Rzeczą zjawiała się przed południem, ale ostatnia taka sytuacja miała miejsce około dwustu Zjawień temu i od tej pory zawsze trzeba było czekać aż do wieczora. Ole był jednak tylko dzieckiem – najchętniej od razu pobiegłby na Plac Zjawień i tam, razem z całą resztą niecierpliwych dzieciaków, czekałby na zmierzch. Niestety, rodzice w życiu nie zgodziliby się na coś



takiego. W domu panowała szaleńcza krzątanina, jak zawsze tego dnia przed południem. Porządkom i przygotowaniom nie było końca, a mama pilnowała, żeby Ole nawet na sekundę nie był bezrobotny. Odkurzanie pokoju w stroju Dundolfa nie było łatwe. Długi ogon bez przerwy wciągał się w odkurzacz, pod kilkoma warstwami bielizny ciekły strużki potu, plecy bolały od schylania – jednym słowem: totalna czykolada.

– Może niech Dundolf przebierze się za Olego? Będzie mu się wygodniej sprzątało – zaproponował tata i ostatecznie chłopiec, krzywiąc się okropnie, ściągnął z siebie wieczorny strój.

Kiedy pokój na górze już lśnił, mama wymyśliła liczenie talerzy i sztućców. Wieczorem, po Zjawieniu i ulicznej





paradzie, zawsze przychodzili dziadkowie i wujkowie z dwoma synami, Mamiejanem i Dlatem. Liczba gości za każdym razem była taka sama, ale mama i tak wołała się upewnić, czy dla kogoś nie zabraknie łyżeczki lub filiżanki.

Kolejnym czykoladowym zadaniem, jakie przypadło Olemu w udziale, było usuwanie kurzowych kotów przyczepionych do nóg krzeseł. Potem przyszła kolej na zamiatanie liści przed domem, strząsanie pajęczyn z narożników ganku, trzepanie dywanu z gościnnego pokoju i dopiero na koniec jakieś przyjemne zajęcie – malowanie ręki.

Świąteczne nadmuchiwane dłonie już od połowy pustki można było kupić w każdym zyliryjskim sklepie. Sprzedawano je w różnych rozmiarach, kolorach i kształtach. Dzieci zawsze marzyły o tych największych – do samego sufitu. Rodzice jednak najczęściej woleli mniejsze i po długich targach zwykle stawało na średnich dłoniach – mniej więcej wysokości Olego. Zakupu dokonywano kilka dni przed Zjawieniem, ale w większości domów z dmuchaniem i malowaniem czekało się aż do świątecznego popołudnia. Ojcowie ściągali ze strychów specjalne pompki, które od poprzedniego Zjawienia leżały tam bezczynnie, wtykali gumowy wężyk do otworu znajdującego się zwykle w nadgarstku ręki i zaczynało się rodzinne pompowanie. Zgodnie z tradycją, do pompowania dłoni używało się

pompek nożnych. Naciskając stopą na miech, wtlaczało się powietrze do wężyka, a następnie do środka gumowej ręki. W ostatnich czasach na rynku pojawiły się również pompki elektryczne, ale powszechnie uważano je za przejaw złego smaku i upadku obyczajów, toteż nikt głośno nie przyznałby się do ich używania.

W rodzinie Olego szanowano tradycję – stara nożna pompka pamiętała podobno jeszcze czasy pradziadka Honeya. Pompowanie przebiegało zawsze według z góry ustalonego porządku. Zaczynał tata. Kilka razy energicznie naciskał na gumowy mieszek, a leżąca na podłodze sflaczała ręka reagowała na to ledwie zauważalnymi drgawkami. Ole nie mógł się doczekać swojej kolejki, ale najpierw musiała popompować mama. Po paru nadeptnięciach uśmiechała się do Olego i chłopiec z zapałem podbiegał do pompki.

– To resztę ja! – wołał i mocno naciskał nogą na miech.

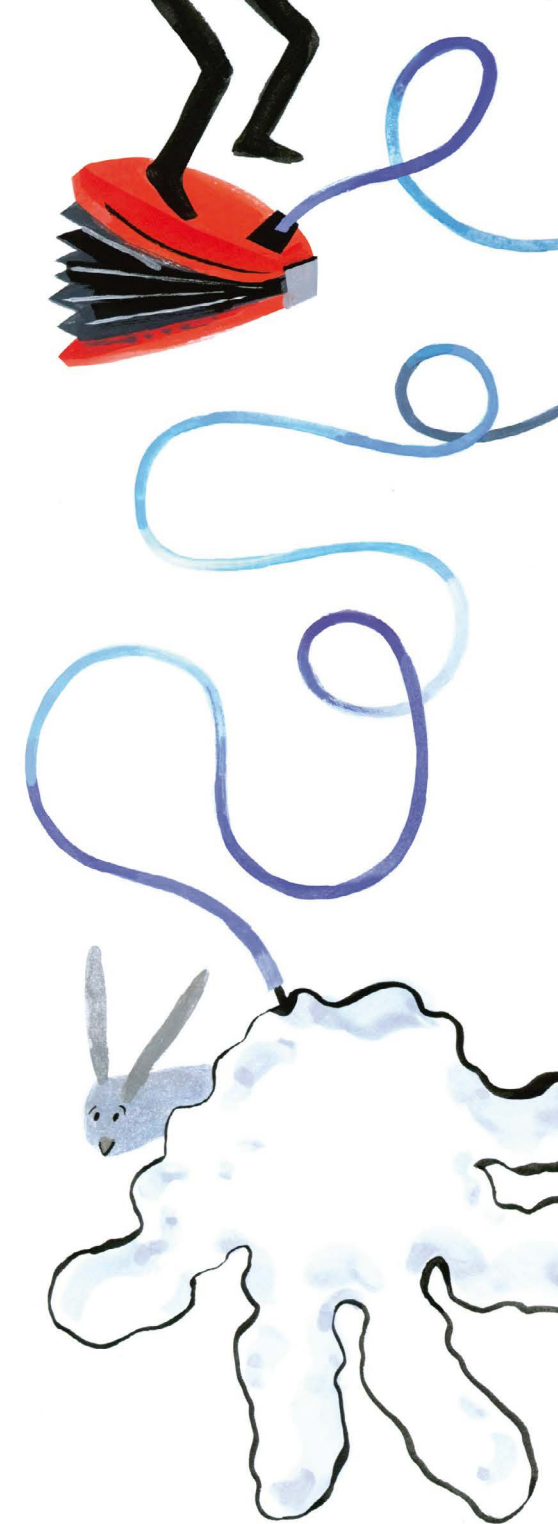
Za każdym razem czekało go podobne zaskoczenie. Stopa na pompce co prawda opadała ku ziemi, ale dużo wolniej, niż można się było spodziewać. Ole przenosił cały ciężar ciała na pompującą nogę i powietrze z sykiem przelatywało do wnętrza ręki. Przez chwilę energicznie przeskakiwał z nogi na nogę, ale już po minucie czuł na szyi pierwsze krople potu, a ręka nadal była gumowym flakiem. Ole zaciskał zęby i dalej zawzięcie pompował, ale postępy nie były

zachęcające. Po trzech minutach skakania na pompkę był tak zdyszany, że musiał robić krótkie odpoczynek. Gumowa dłoń nie była nadmuchana nawet w połowie.

– No to może znowu ja – proponował tata, na co Ole naburmuszonym tonem odpowiadał:

– No dobra, jak już musisz!

Malowanie zaczynało się dopiero wtedy, kiedy ręka była już napompowana. Stała w kącie na specjalnym obciążonym stojaku, a jej pięć wyprostowanych palców sterczało do góry. Obowiązkowo musiała być w kratkę. To dlatego, że Ręka, która zjawiała się po każdej pustce, zawsze ubrana była w biało-czarną kraciastą rękawiczkę. Poza przepisową kratką nic nie ograniczało fantazji Zyliryjczyków. Niektórzy po prostu paćkali kraciaste tło jaskrawą farbą, inni przyklejali ozdoby wycięte z kolorowego papieru,



jeszcze inni zarzucali na palce paseczki krepiny. W domu Olego panował zwyczaj ozdabiania gumowej dłoni modelem Rzeczy z poprzedniego Zjawienia. Ostatnio Ręka przyniosła wielki srebrny łańcuch z gigantyczną, również srebrną płaskorzeźbą przyczepioną do największego, okrągłego ogniwa. Tym razem więc mama wyciągnęła z szafy miedziany drut, pocięła go na kawałki, powyginała w połączone ze sobą kółka, owinęła je błyszczącą folią i zawiesiła na gumowym kciuku.

– Ciekawe, co dzisiaj się zjawi! – powiedziała, z zadowoleniem przyglądając się swojemu dziełu.

– Eksperci twierdzą, że bransoleta. Dawno już nie było bransolet – odrzekł tata z ironicznym uśmiechem.

Mama skrzywiła się lekceważąco. W rodzinie Olego nie ufano naukowym prognozom.

– Eksperci! – prychnęła. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby mieli rację. Ja w ogóle nie rozumiem, dlaczego musimy utrzymywać tych darmozjadów.

Rozmowę o ekspertach przerwało rodzicom donośnie bicie dzwonów. Było to tradycyjne wezwanie – znak, że czas kończyć domowe zajęcia, wkładać świąteczne kostiumy lub odświętne ubrania, jeśli ktoś nie przepadał za przebieraniami, i powoli zmierzać na Plac Zjawień.



Kiedy rodzina Olego zbliżała się do Placu Zjawień, nad Zylirią zapadał zmrok. Na środku kwadratowego rynku znajdowała się pusta przestrzeń ograniczona wielkim kręgiem przenośnych barier, na którą wstęp był surowo wzbroniony. Po zewnętrznej stronie prowizorycznego ogrodzenia powoli gromadził się różnokolorowy tłum. W gęstwinie głów Ole wypatrzył kilka znajomych twarzy. Całkiem niedaleko jego dwaj kuzyni, Mamiejani i Dlat, wiercili się niecierpliwie i bez przerwy pytali o coś stojących obok rodziców. Odrobinę dalej Twojak, najlepszy przyjaciel Olego, wpatrywał się w niebo przez śmieszoną dziecienną lornetkę. Ludzie na placu witali się z sąsiadami, uśmiechali się uprzejmie, usiłowali prowadzić niewinne pogaduszki, ale w powietrzu czuło się napięcie. „Bransoleta, pierścionek, zegarek” – to były słowa, które najczęściej padały w rozmowach. Ludzie próbowali zgadnąć, co zjawi się tym razem, a uliczni cwaniacy przy turystycznych stolikach przyjmowali nawet zakłady.

